



ALBATROS

ELIZABETH  
JANE  
HOWARD

LATA  
BEZTROSKI

Tytuł oryginału:  
THE CAZALET CHRONICLES #1: THE LIGHT YEARS

Copyright © Elizabeth Jane Howard 1990  
All rights reserved

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2024

Polish translation copyright © Maria Gębicka-Frać 2024

Redakcja: Anna Walenko

Projekt graficzny okładki i serii: Kasia Meszka / Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Ilustracje na okładce: Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.; rattanachomphoo / Freepik

*Wydawca*

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros|Instagram.com/wydawnictwoalbatros



## LANSDOWNE ROAD 1937

Dzień zaczął się za pięć siódma, gdy budzik, który Phyllis dostała od matki, kiedy poszła na służbę, zaczął dzwonić i dzwonił, dopóki go nie wyłączyła. Śpiąca na drugim skrzypiącym żelaznym łóżku Edna dźwignęła się z jękiem i oparła o ścianę; nawet latem nie znosiła wstawać, a zimą Phyllis musiała czasem zrywać z niej pościel. Phyllis usiadła, ściągnęła z głowy siateczkę i zabrała się do zdejmowania lokówek. Dziś będzie pracować tylko pół dnia, a wczoraj umyła włosy. Wstała z łóżka, podniosła z podłogi zrzuconą w nocy kołdrę i rozsunęła zasłony. Światło słoneczne odświeżyło pokój – linoleum nabrało koloru toffi, odpryski na białym emaliowanym dzbanie z wodą zrobiły się niebieskie jak łupek. Rozpięła flanelową koszulę nocną i umyła się, tak jak nauczyła ją matka: twarz, ręce i – ostrożnie – pod pachami myjką zamoczoną w zimnej wodzie.

– Ruszaj się – ponagliła Ednę.

Wylała do wiadra wodę po myciu i zdjęła koszulę nocną. Włożyła na bieliznę suknię poranną z ciemnozielonej bawełny, zakryła nierozczesane loki czepkiem i zawiązała w pasie fartuch. Edna, która rano myła się bardzo pobieżnie, zdążyła się ubrać, nawet nie wychodząc z łóżka – przyzwyczajenie z zimy (w pokoju nie było ogrzewania i nigdy nie otwierały tu okna). Dziesięć po siódmej obie były gotowe, by po cichu przejść przez

śpiący dom. Phyllis zatrzymała się na pierwszym piętrze i otworzyła drzwi sypialni. Odciągnęła zasłony i usłyszała, że papużka falista niecierpliwie porusza się w klatce.

– Panienko Louise! Jest kwadrans po siódmej.

– Och, Phyllis!

– Prosiła panienska, żebyś panienkę obudziła.

– Jest ładny dzień?

– Tak, bardzo słoneczny.

– Odkryj Ferdiego.

– Jeśli tego nie zrobię, wstanie panienska tym szybciej.

W kuchni w piwnicy Edna już nastawiła czajnik i szykowała filiżanki na wyszorowanym stole. Należało zaparzyć dwa dzbanki herbaty: ciemnobrązowy w paski dla pokojówek i kucharki Emily oraz biały porcelanowy Minton na tacy z filiżankami na spodkach, mlecznikiem i cukiernicą. Poranną herbatą dla państwa Cazaletów zajmowała się Phyllis i to ona zanieśie tacę na piętro. Później zbierze wszystkie filiżanki i szklanki z salonu, a Edna wywietrzy go i posprząta. Najpierw jednak wypiją po kubku gorącej mocnej herbaty indyjskiej. Na górę trafiała chińska, o której Emily powiedziała, że nie znosi samego jej zapachu, a cóż dopiero mówić o picciu. Piły na stojąco, jeszcze zanim cukier zdążył się rozpuścić.

– Jak tam twój pryszcz? – spytała Edna.

Phyllis ostrożnie pomacała bok nosa.

– Chyba trochę schodzi. Dobrze, że go nie wycisnęłam.

– Przecież mówiłam.

Edna, która nigdy nie miała pryszczu, była w ich sprawie autorytetem. Jej liczne darmowe rady bywały sprzeczne, ale mimo wszystko niosły pociechę. Phyllis uważała je za oznakę zainteresowania.

– Cóż, to nie zrobi z nas milionerek.

Nic tego nie uczyni, pomyślała ponuro Edna. Chociaż Phyllis miała kłopoty z cerą, to właśnie jej przypadło w udziale całe

szczęście. Edna uważała, że pan Cazalet jest naprawdę przystojny, a nigdy nie widziała go w piżamie, w przeciwieństwie do Phyllis, która widywała go tak co rano.

\* \* \*

W chwili, gdy Phyllis zamknęła drzwi, Louise wyskoczyła z łóżka i zdjęła okrycie z klatki. Ferdie podskakiwał w udawanym przerażeniu, ale wiedziała, że jest zadowolony. Do wychodzącego na ogród za domem pokoju wpadało trochę porannego słońca, co według niej dobrze mu służyło. Jego klatka stała na stole przy oknie, obok akwarium ze złotą rybką. Pokój był mały i pełen jej rzeczy: programy teatralne, rozetki i dwa bardzo małe puchary zdobyte na zawodach, albumy ze zdjęciami, kuferek z drewna bukszpanowego, z płytkami szufladami zawierającymi kolekcję muszelek, porcelanowe zwierzątka na kominku, robotki na komodzie, razem z cenną szminką Tangee, która była jaskrawopomarańczowa, ale nadawała ustom różowy kolor, emulsja Pond's i puszka talku Californian Poppy, jej najlepsza rakietka tenisowa, a przede wszystkim książki, od *Kubusia Puchatka* po najnowsze i najcenniejsze nabytki, dwa tomy Phaidon Press z reprodukcjami Holbeina i van Gogha, obecnie jej dwóch ulubionych malarzy. Była też komoda pełna ubrań, których prawie nigdy nie nosiła, i biurko – prezent od ojca na jej ostatnie urodziny – zrobione z dębu angielskiego o wyjątkowo niezwykłych słojach. Trzymała tam swoje najskrytsze skarby: zdjęcie Johna Gielguda z autografem, biżuterię, cieniutki pakiecik listów pisanych ze szkoły przez jej brata, Teddy'ego (żartobliwych w tonie, ale jedyne, jakie dostała od jakiegokolwiek chłopca), oraz kolekcję laku – pewnie największą w kraju, jak myślała. W pokoju stał również duży stary kufer, który zawierał stroje do przebierania się, głównie stare suknie wieczorowe jej matki, wąskie i szerokie, z szyfonu i atlasu, naszyte koralikami i perełkami. Były tam także aksamitne żakiety z tłoczonymi wzorami, zwiewne, lekko

orientalne chusty i szale z dawnych czasów, brudne, drapiące pie-rzaste boa, ręcznie haftowana chińska szata, przywieziona przez jakiegoś krewnego z podróży, satynowe spodnie i tuniki – rze-czy przeznaczone do rodzinnych zabaw. Gdy otworzyło się ku-fer, wewnątrz pachniało starością, naftaliną i podnieceniem – a na końcu płynęła lekko metaliczna woń, pochodząca, jak uważała Louise, ze zmatowiałych złotych i srebrnych nici na niektórych ubraniach. Porą przebierania się i wystawiania przedstawień była zima; teraz był lipiec i trwały prawie niekończące się cudowne wakacje. Włożyła płócienną tunikę i bluzkę Aertex – szkarłatną, jej ulubioną – i wyszła, by zabrać Derry’ego na spacer.

Derry nie był jej psem. Nie pozwolono jej mieć psa i czę-ściowo po to, by podsycać wynikłą z tego urazę, codziennie rano wyprowadzała bardzo starego bulteriera z sąsiedztwa na spacer wokół kwartału. Robiła to również dlatego, że fascynował ją dom, w którym mieszkał. Bardzo duży – widoczny z ogrodu na tyłach – ale zupełnie niepodobny do jej domu ani do domów jej przyjaciółek. Nie było w nim dzieci. Służący, który ją wpuszczał, szedł po Derry’ego, dzięki czemu miała czas, by przejść przez czarno-biały marmurowy hol do otwartych dwuskrzydłowych drzwi wychodzącej na salon galerii. Każdego ranka panował w tym pokoju luksusowy nieład po wieczornym przyjęciu; powie-trze pachniało egipskimi papierosami – takimi, jakie paliła ciocia Rachel – i zawsze było tu mnóstwo kwiatów, już raczej śmierdzą-cych: wiosną hiacynty, teraz lilie, zimą goździki i róże. Wszędzie leżały kolorowe jedwabne poduszki, a wokół stały dziesiątki kie-liszków i otwartych bombonierek. Czasem widywała tam stoliki do gry, a na nich talie kart i notatniki zaopatrzone w ołówki z frędzelkami. W salonie nieodmiennie zalegał półmrok, bo kre-mowe jedwabne story były na wpeł zaciągnięte. Przypuszczała, że właściciele – których nigdy nie widziała – są fantastycznie bo-gatymi, zapewne dość dekadencckimi cudzoziemcami.

Spacerowanie z Derrym, który podobno miał trzynaście lat,

co według sporządzonej przez nią Psiej Tabeli Wieku oznaczało dziewięćdziesiąt jeden lat u człowieka, było dość nudne, ponieważ zarządzał nieskończenie długie postoje przy kolejnych latarniach. Ale lubiła iść z psem na smyczy i uśmiechać się do ludzi w taki sposób, by myśleli, że Derry należy do niej. Co więcej, żyła nadzieją, że pewnego dnia zobaczy śpiącego w salonie kogoś z mieszkańców domu lub ich dekadentkich przyjaciół i będzie mogła im się przyjrzeć. Ten spacer będzie krótki, ponieważ ma ćwiczyć przez godzinę, aż do śniadania za kwadrans dziewiąta, a wcześniej wziąć zimną kąpiel, bo tata powiedział, że to dobrze robi. Miała czternaście lat i czasami czuła się bardzo młoda i gotowa na wszystko, ale kiedy indziej zmęczona wiekiem – wyczerpana na myśl o robieniu wszystkiego, czego od niej oczekiwano.

Po odprowadzeniu Derry'ego spotkała mleczarza. Dobrze знаła jego kuca, Peggy, i wyhodowała dla niego trawę na splechtku flaneli. Zrobiła to, bo Peggy nigdy nie była na wsi, a każdy, kto czytał *Czarnego Księcia*, wie, jakie straszne dla koni jest to, że nie przebywają na polach.

– Wspaniały dzień – zauważył pan Pierce, kiedy gładziła nozdrza Peggy.

– Tak, to prawda.

*Wiele wspaniałych poranków widziałam\**, mruknęła do siebie, gdy go minęła. Kiedy weźmie ślub, mąż uzna ją pewnie za niezwykłą, ponieważ w każdej sytuacji potrafiła rzucić cytatami z Szekspira. Chociaż może nikogo nie poślubi, bo Polly powiedziała, że seks jest bardzo nudny, a w małżeństwie nieunikniony. Chyba że Polly się myli; często nie miała racji i Louise zauważyła, że kuzynka wszystko, czego nie aprobeje, uważa za nudne. „Nic o tym nie wiesz, George”, dodała. Jej ojciec nazywał George'em każdego, kogo nie znał, to znaczy mężczyzn, i było to jedno z

---

\* William Szekspir, *Sonet 33*, przeł. Maciej Słomczyński.

jego ulubionych określeń. Zadzwoiła trzy razy do drzwi, żeby Phyllis wiedziała, że to ona. *Nie ma miejsca we wspólnej dwójga serc przestrzeni dla barier, przeszkód\**. Zabrzmiało to trochę sztucznie, ale też szlachetnie. Gdyby była Egipcjanką, mogłaby poślubić 'Teddy'ego, jak robili to faraonowie; w końcu sama Kleopatra była efektem sześciu pokoleń kazirodztwa, cokolwiek to oznacza. Najgorsza wada niechodzenia do szkoły polega na tym, że wiesz co innego niż ci, którzy do nich uczęszczają. W święta Bożego Narodzenia popełniła głupi błąd, udając przed swoją kuzynką Norą, która chodziła do szkoły, że seks jest niemodny, co oznaczało, że w ogóle nie ma o tym pojęcia. Już miała zadzwonić ponownie, gdy Phyllis otworzyła drzwi.

\* \* \*

– Louise może wejść – powiedziała Villy.

– Nonsens – rzucił Edward. – Wyjdzie z psem.

Zanim żona zdążyła zaprotestować, przyłożył usta z najeżonym wąsem do jej ust. Po chwili podciągnęła koszulę nocną i już był na niej.

– Kochana Villy – powtórzył trzykrotnie, zanim doszedł.

Imię Viola nigdy nie chciało mu przejść przez usta. Kiedy skończył, westchnął głęboko, zdjął rękę z jej lewej piersi i pocałował ją w szyję.

– Chińska herbata. Nie wiem, jak udaje ci się zawsze pachnieć fiołkami i chińską herbatą. Dobrze ci było? – spytał jak zwykle.

– Cudnie.

Nazywała to w duchu białym kłamstwem i przez lata to określenie nabrało niemal milego wydźwięku. Oczywiście, że kochała męża, więc co innego mogłaby powiedzieć? Przecież seks jest dla mężczyzn. Nie oczekiwano, że kobiety, w każdym razie te

---

\* William Szekspir, *Sonet 116*, przeł. Stanisław Barańczak.



szanujące się, będą go lubić, ale rodzona matka dała jej do zrozumienia (kiedy jeden jedyny raz musnęła ten temat), że odmawianie mężowi jest najpoważniejszym z możliwych błędów. Dlatego nigdy mu nie odmówiła, a jeśli osiemnaście lat temu przeżyła wstrząs, któremu towarzyszył ostry ból, praktyka rozcieńczyła te doznania w cierpliwą niechęć. Uleganie mężowi było właściwym sposobem na udowodnienie mu swojej miłości.

– Przygotuj mi kąpiel, kochanie! – zawołała, gdy wychodził z pokoju.

– Dobrze.

Dolała sobie herbaty, która jednak już wystygła. Wstała i otworzyła dużą mahoniową szafę, żeby zdecydować, w co się ubrać. Rano musi pójść z Nanny i Lydią do domu towarowego Daniela Neala po letnie ubrania, a później zje lunch z Hermione Knebnorth i wróci z nią do jej sklepu, gdzie może uda jej się kupić jedną czy dwie suknie wieczorowe – o tej porze roku Hermione urządziła wyprzedaż, zanim wszyscy wyjadą na lato. Potem odwiedzi mamę, bo wczoraj nie zdołała tego zrobić, ale nie zostanie u niej długo, jeśli ma zdążyć przebrać się do teatru i na kolację z Waringami. Ale nie może pójść do sklepu Hermione, przynajmniej nie starając się wyglądać elegancko. Zdecydowała się na kupioną w ubiegłym roku jasnokremową płócienną sukienkę obszytą niebieską wstążką.

Moje życie jest przewidywalne, pomyślała nie po raz pierwszy. Zgodne z oczekiwaniami dzieci, matki i oczywiście Edwarda. Taki jest los kobiet po ślubie, a większość nie wychodzi za kogoś równie przystojnego i miłego jak Edward. Ale odrzucenie wyboru – lub dokonanie wyboru na bardzo wczesnym etapie – nadało jej życiu nowy wymiar obowiązku: była poważną osobą, skazaną na płytsze życie, niż dyktował jej temperament. Nie była nieszczęśliwa – po prostu mogła być kimś więcej.

Gdy szła przez podest do dużej garderoby męża, w której mieściła się ich łazienka, usłyszała dochodzący z góry krzyk

Lydii, co oznaczało, że Nanny zaplata jej warkoczyki. Z dołu dobiegły grane na fortepianie tony C-dur von Bülowa. Louise ćwiczyła.

\* \* \*

W jadalni z oszklonymi drzwiami wychodzącymi na ogród były tylko najpotrzebniejsze meble: komplet ośmiu pięknych krzesel Chippendale (prezent ślubny od ojca Edwarda), duży stół z drewna koko, teraz nakryty białym obrusem, oraz kredens z elektrycznymi podgrzewaczami, na których stały talerze z cynaderkami, jajecznicą, pomidorami i bekonem. Na kremowych ścianach, oprócz kinkietów z małymi abażurami (imitacjami kinkietów Adam), wisiało kilka obrazów wykonanych metodą intarsji. Był tam jeszcze gazowy kominek i stary, podniszczony skórzany fotel, w którym Louise uwielbiała skulić się i czytać. Ogólnie biorąc, jadalnia była brzydka w stonowany sposób, ale nikt tego nie dostrzegał poza nią; uważała to pomieszczenie za nudne.

Lydia siedziała z nożem i widelcem ustawionymi jak otwierający się Tower Bridge, podczas gdy Nan kroїła pomidora i bekon. „Jeśli dasz mi cynaderki, wypluję je”, zagroziła wcześniej. Spora część jej porannych rozmów z Nan polegała na obustronnych groźbach, a ponieważ żadna nie kwapiła się ich spełnić, trudno było przewidzieć, jakie mogłyby być konsekwencje, gdyby któraś postanowiła zrealizować to, co zapowiedziała. Lydia doskonale wiedziała, że Nan za żadne skarby świata nie chciałaby zrezygnować z wyprawy do domu towarowego, a Nan wiedziała, że Lydia za żadne skarby świata nie wypluje cynaderki ani niczego innego w obecności ojca. Ten właśnie pochylił się nad nią, żeby pocałować ją w czubek głowy, jak każdego ranka, i poczuła jego piękny drzewny zapach zmieszany z wodą lawendową. Siedział u szczytu stołu, z dużym talerzem pełnym wszystkiego i „Telegraphem” opartym o salaterkę z marmoladą. Nie brzydził się

cynaderek. Rozciął je i gdy ze środka wyciekła straszna krew, wytarł ją smażonym chlebem. Lydia bardzo głośno siorbnęła trochę mleka, żeby przyciągnąć jego uwagę. Zimą żywił się biednymi martwymi ptakami, które upolował: kuropatkami i bażantami o czarnych podkurczonych pazurkach. Nie uniósł wzroku, za to Nan złapała jej kubek i odstawiła go poza jej zasięg.

– Jedz śniadanie – powiedziała tym szczególnym cichym tonem, którego używała podczas posiłków w jadalni.

Weszła mama. Obdarzyła Lydię tym swoim cudownym uśmiechem i obeszła stół, żeby ją pocałować. Pachniała sianem i jakimiś kwiatami, od których woni jej córce zakręciło się w nosie, chociaż nie kichnęła. Mama miała śliczne falujące włosy, ale z białymi pasemkami, co było niepokojące, ponieważ Lydia chciała, żeby mama nigdy nie umarła, a przecież to bez wątpienia przytrafia się siwowłosym ludziom.

– Gdzie jest Louise? – spytała mama, co było naprawdę głupie, ponieważ wszyscy słyszeli, że ćwiczy.

– Zawołam ją – powiedziała Nan.

– Dziękuję. Może zegar w salonie się zatrzymał.

Mama wzięła z kredensu płatki Grape Nuts, grzanki i kawę oraz małe dzbanuszek śmietanki. Zaczęła otwierać swoją pocztę, czyli listy, które wpadały przez frontowe drzwi i ślizgały się po wypolerowanej podłodze w holu. Lydia raz dostała pocztę: w ostatnie urodziny, kiedy miała sześć lat. Tamtego dnia jeździła na słońcu, piła herbatę z mlekiem i włożyła swoją pierwszą parę sznurowanych trzewików. Uważała, że to był najlepszy dzień w jej życiu, co wiele mówiło, skoro przeżyła ich już tak wiele. Gra na fortepianie ucichła i Louise weszła do jadalni, a za nią Nan. Lydia kochała siostrę, która była straszliwie stara i zimą nosiła pończochy.

– Wychodzisz na lunch, mamó, poznaję to po twoim ubraniu – powiedziała Louise.

– Tak, skarbie, ale wróć, żeby was zobaczyć, zanim

wyjdziemy z tatą.

– Dokąd się wybieracie?

– Do teatru.

– Na co?

– Na sztukę *The Apple Cart* George’a Bernarda Shawa.

– Szczęściarze!

Edward spojrzął znad gazety.

– Z kim idziemy, Villy?

– Z Waringami. Najpierw jemy z nimi kolację. Punkt siódma. Czarny krawat.

– Powiedz Phyllis, żeby wyłożyła dla mnie moje rzeczy.

– Ja nigdy nie chodzę do teatru – poskarżyła się Louise.

– To nieprawda. Zawsze w Boże Narodzenie – przypomniała jej mama. – I na urodziny.

– Urodziny się nie liczą. Mówię o tym, że nie chodzę normalnie. Jeśli mam być aktorką, powinnam chodzić do teatru.

Villy nie zwróciła na to uwagi. Patrzyła na pierwszą stronę „Timesa”.

– O nie. Zmarła matka Mollie Strangways.

– Ile miała lat? – zapytała Lydia.

Jej mama uniosła wzrok.

– Nie wiem, skarbie. Przypuszczam, że była w dość podeszłym wieku.

– Czy jej włosy całkiem zbielały?

– Skąd oni wiedzą, których z tych ludzi, co umierają, wymienić w „Timesie”? – odezwała się Louise. – Założę się, że na świecie umiera znacznie więcej osób, niż zmieściłoby się na jednej stronie. Jak wybierają, kogo wymienić?

– Nie wybierają. Decydują ci, którzy chcą za to zapłacić – wyjaśnił jej ojciec.

– Gdybyś był królem, też musiałbyś płacić?

– Nie, król to co innego.

Lydia przestała jeść.

– Ile lat żyją ludzie? – Powiedziała to bardzo cicho i wydawało się, że nikt jej nie usłyszał.

Villy, która wstała, by dolać sobie kawy, zauważyła prawie pustą filiżankę męża i jemu też dołała.

– Phyllis ma dzisiaj wolne – zwróciła się do niego – więc ja przyszykuję ci ubranie. Postaraj się nie wracać zbyt późno.

– Ile lat żyją matki?

Villy spojrzała na twarz młodszej córki i odparła szybko:

– Całe wieki. Pomyśl o mojej mamie i tacie. Są okropnie starzy i oboje mają się dobrze.

– Oczywiście zawsze można paść ofiarą morderstwa – wtrąciła Louise. – To może cię spotkać w każdym wieku. Pomyśl o Tybalcie. I o księżętach w Tower.

– Co to jest morderstwo? Co to znaczy?

– Albo można utonąć w morzu. Czy zaginać w katastrofie morskiej – dodała z rozmarzeniem Louise. Chciałaby zostać rozbitkiem.

– Milcz. Nie widzisz, że niepokoisz siostrę?

Było już za późno. Lydia wybuchła płaczem. Villy wzięła ją na ręce i przytuliła. Louise zrobiło się gorąco i nadąsała się ze wstydu.

– Już, już, kaczuszeko. Zobaczysz, że będę żyć bardzo, ale to bardzo długo, aż staniesz się całkiem dorosła i będziesz miała wspaniałe duże dzieci, takie jak ty, które noszą sznurowane trzewiki...

– I żakiety do jazdy konnej?

Lydia wciąż szlochała, ale marzyła o takim żakiecie, tweedowym, z rozcięciem na plecach i z kieszeniami. Uznała, że to dobry moment, by go wydębnić.

– Zobaczymy. – Villy posadziła ją na krześle.

– Dokończ mleko – przykazała dziewczynce Nan.

Lydia chciało się pić, więc nie protestowała.

Edward popatrzył na córkę spod zmarszczonych brwi.

– A co ze mną, Lydio? – zapytał. – Nie chcesz, żebym i ja żył wiecznie?

– Nie tak bardzo. Ale chcę.

– Cóż, ja też – wtrąciła Louise. – Kiedy skończysz osiemdziesiąt lat, będę cię wozić, bezzębnego i zaślinionego, na wózku kąpielowym.

Ojciec ryknął śmiechem, na co liczyła, i przywrócił ją do łask.

– Nie mogę się tego doczekać. – Wstał, wziął gazetę i wyszedł z pokoju.

– Poszedł do toalety – powiedziała Lydia. – Na grubą robotę.

– Wystarczy – ucięła ostro Nanny. – Nie rozmawiamy o takich rzeczach przy stole.

Lydia spojrzała na Louise; miała obojętny wyraz twarzy, ale drżały jej usta. Jak można było się spodziewać, wybuchła śmiechem.

– Dzieci, dzieci – jęknęła słabym głosem Villy.

Lydia czasami była zabójczo śmieszna, ale nie mogła podważyć autorytetu Nanny.

– Idź na górę, skarbie. Niebawem wychodzimy.

– O której mamy się stawić, proszę pani?

– Za jakieś dziesięć minut, Nanny.

– Zobacz moje konie. – Lydia zsunęła się z krzesła i pobiegła do drzwi wychodzących na taras. Louise otworzyła je dla niej. – Chodź. – Dziewczynka chwyciła starszą siostrę za rękę.

Jej konie stały przywiązane do balustrady w ogrodzie na tyłach. Były to długie patyki w różnych kolorach: kawałek płatana uchodził za srokacza, srebrzysty kij grał rolę siwka, a gałąź buka z Sussex była gniadoszem. Wszystkie rumaki miały fantazyjne uzdy z kawałków sznurka, obok siebie skoszoną trawę w doniczkach i imiona wypisane kolorową kredą na kawałkach tektury. Lydia odwiązała siwka i zaczęła kłusować po ogrodzie. Co

jakiś czas niezgrabnie podskakiwała i upominała wierzchowca. „Nie wolno ci tak brykać”.

– Patrz, jak jeżdżę! – zawołała. – Lou! Patrz!

Ale Louise bała się wzbudzić niezadowolenie Nan, a poza tym za niecałą godzinę zjawi się panna Milliment. Chciała dokończyć *Perswazje* Jane Austen. Dlatego powiedziała krótko:

– Tak, już się napatrzyłam.

I odeszła, równie niegrzecznie jak osoba dorosła.

\* \* \*

Edward w holu pocałował Villy, wziął od Phyllis szary homburg – w innych porach roku zawsze pomagała mu włożyć palto – chwycił egzemplarz „*Timber Trades Journal*” i wyszedł. Przed domem czekał na niego czarny lśniący buick. Bracken jak zwykle siedział za kierownicą, nieruchomy niczym figura woskowa. Gdy tylko zobaczył chlebowca, wyskoczył z samochodu i otworzył tylne drzwi.

– Dzień dobry, Bracken.

– Dzień dobry panu.

– Nabrzeże.

– Dobrze, proszę pana.

Po tej wymianie zdań – taka sama odbywała się każdego ranka, chyba że Edward chciał jechać gdzieś indziej – nie padło już ani jedno słowo. Edward usadowił się wygodnie i zaczął leniwie przekładać kartki dziennika, ale nie czytał, tylko zastanawiał się nad planem tego dnia. Najpierw przez kilka godzin w biurze załatwianie korespondencji, później sprawdzi próbki forniru z wiązów, które kupili po rozbiórce starego mostu Waterloo. Drewno schło już od roku i w zeszłym tygodniu zaczęli je ciąć, a teraz w końcu się przekonają, czy Stary miał trafne, czy katastrofalne przeczucie. To będzie ekscytujące. Następnie lunch w klubie z kilkoma gośćmi z Great Western Railway, co zaowocuje, był tego prawie pewien, sporym zamówieniem na

mahoń. Po południu uda się na spotkanie z dyrektorami, Starym i bratem – będą podpisywać listy, które Edward przygotował. Potem może wykroi nieco czasu na filiżankę herbaty z Denise Ramsay, która miała dwie zalety: męża często wyjeżdżającego w interesach i brak dzieci. Ale jak wszystkie zalety, te również okazały się obosieczne. Dzięki nim Denise miała trochę za wiele swobody i pewnie dlatego trochę za bardzo się w nim zakochała, a przecież „sprawa”, jak nazywała ich romans, nie miała być na poważnie. Możliwe, że nie wystarczy mu czasu, by się z nią zobaczyć, bo będzie musiał wrócić do domu i przebrać się na wyjście do teatru.

Gdyby ktoś kiedyś go spytał, czy kocha żonę, odrzekłby, że tak, oczywiście. Nie dodałby, że mimo osiemnastu lat względnego szczęścia i wygody oraz trojga wspaniałych dzieci Villy nie przepada za łóżkową stroną życia. Takie podejście było wśród żon dość powszechne – jeden biedak z klubu, Martyn Slocombe-Jones, zwierzył mu się kiedyś późno w nocy, po partyjce bilardu i sporej porcji wybornego portu, że jego żona tak bardzo go nie znosi, że pozwala mu na seks tylko wtedy, gdy chce mieć dziecko. Jest przy tym cholernie atrakcyjną kobietą i wspaniałą żoną, jak powiedział, pod każdym innym względem. Dochowali się pięciorga dzieci i Martyn nie sądził, by żona zdecydowała się na szóste. Beznadziejna sprawa. Kiedy Edward zasugerował, żeby szukał pociechy gdzieś indziej, Martyn spojrział na niego smutnymi brązowymi oczami i powiedział: „Ale ja ją kocham, stary, zawsze ją kochałem. Nigdy nie obejrzałem się za żadną inną. Wiesz, jak to jest”. Edward, który nie wiedział, oczywiście przytaknął. Tak czy inaczej, ta rozmowa zniechęciła go do zainteresowania się Marcją Slocombe-Jones. W sumie nie miało to znaczenia, bo wokół nie brakowało dziewczyn. Ależ miał szczęście! Wrócił z Francji nie tylko żywy, ale też względnie bez szwanku! Zimą trochę pobolevało go w piersiach, ponieważ wiele tygodni spędził w okopach, gdzie unosił się gaz, lecz poza



tym... Po powrocie od razu wszedł do rodzinnej firmy, a jakiś czas później na przyjęciu poznał Villy i poślubił ją, gdy tylko wygasł jej kontrakt z zespołem baletowym – i gdy tylko zgodziła się na dyktat Starego, że powinna zakończyć karierę. „Nie można poślubić dziewczyny, która ma głowę pełną czegoś innego. Jeśli małżeństwo nie stanie się dla kobiety jedynym celem, to nie będzie udane”.

Takie podejście było oczywiście na wskroś wiktoriańskie, wiele jednak przemawiało na jego korzyść. Ilekroć Edward patrzył na matkę, co robił nieczęsto, choć z wielką czułością, widział w niej idealne odzwierciedlenie zdania ojca: kobietę, która pogodnie wypełniała wszystkie rodzinne obowiązki, a jednocześnie zachowała młodzieńczy entuzjazm – do uwielbianego przez nią ogrodu i do muzyki. W wieku ponad siedemdziesięciu lat mogła grać duety z profesjonalistami. Niezdolny dostrzec ciemniejszych, bardziej skomplikowanych cech charakteru, które odróżniają jedną osobę od drugiej, naprawdę nie potrafił pojąć, dlaczego Villy nie miałyby być równie szczęśliwa i spełniona jak Duszka. (Dzięki wiktoriańskiej skłonności do skromnego życia – nic wystawnego w jedzeniu, żadnych fanaberii ani pretensji do własnego wyglądu i gospodarstwa domowego – matka już dawno zyskała przydomek Diuszesa, skrócony przez jej dzieci do Duszy, a przez wnuki wydłużony do Duszki). Nigdy nie zabraniał Villy posiadania zainteresowań: angażowała się w działalność dobroczynną, jeździła konno i na nartach, miała fioła na punkcie uczenia się gry na różnych instrumentach, zajmowała się rękodziełem – przędzeniem, tkaniem i tak dalej. Kiedy myślał o żonach braci – Sybil uważał za zbyt wielką intelektualistkę, a Zoë za zbyt wymagającą – czuł, że wcale nie trafił najgorzej...

\* \* \*

Kuzynka Louise, Polly Cazalet, przyszła na lekcje pół godziny wcześniej, ponieważ razem robiły krem do twarzy z białek,

siekanej pietruszki, leszczyny i kropli koszenili, żeby nadać mu różowawy odcień. Nazwały go Cudownym Kremem i Polly sporządziła piękne etykiety do naklejenia na słoiczki, które dostały od matek. Krem stał w misce do puddingu, w szopie ogrodowej. Zamierzały sprzedawać go ciociom, kuzynkom i Phyllis – tej ostatniej po niższej cenie, bo wiedziały, że nie ma dużo pieniędzy. Słoiczki zresztą musiały mieć różne ceny, ponieważ różniły się wielkością i kształtem. Umyte przez Louise, także leżały w szopie. Kiedy Emily była na zakupach, Louise świsnęła ze spiżarni sześć jajek i trzepaczkę. Część żółtek dały żółtwikowi Louise, niezbyt mu jednak smakowały, nawet po zmieszaniu ich z mleczem (jego ulubionym pokarmem) z ogrodu Polly.

– Dla mnie wygląda dziwnie – orzekła Louise.

Spojrzały jeszcze raz – pragnęły, by krem wyglądał ładniej.

– Koszenila chyba nie była dobrym pomysłem – powiedziała Polly. – Była trochę zielona.

– Koszenila sprawia, że rzeczy są różowe, głuptaku.

Polly zarumieniała się.

– Wiem – skłamała. – Problem w tym, że ten krem jest za rzadki.

– To nie zmienia faktu, że jest dobry dla skóry. Na pewno z czasem stężeje.

Polly włożyła do mikstury łyżkę, którą przyniosła do nalewania.

– Zielony kolor nie jest od natki pietruszki. Natka utworzyła na wierzchu coś w rodzaju błonki – wyjaśniła.

– Rozumiem.

– Rozumiesz?

– Oczywiście. Pomyśl o kremie Devonshire.

– Myślisz, że powinniśmy same wypróbować tego naszego, zanim go sprzedamy?

– Nie wygłupiaj się – rzuciła Louise. – Ty zajmij się etykietkami, a ja będę nakładać. Etykiety są nadzwyczajne.

Polly znów się zarumieniła.

Na karteluszkach widniała nazwa: *Cudowny Krem*, a pod nią instrukcja: *Nakładaj obficie na noc. Będziesz zaskoczona, jak zmienił się twój wygląd.* Niektóre słoiczki uznały za zbyt małe.

Panna Milliment przybyła, zanim skończyły. Udawały, że nie słyszą dzwonnka, ale przyszła po nie Phyllis.

– Jej nie ma sensu sprzedawać – szepnęła Louise.

– A nie mówiłaś...

– Nie chodzi mi o nią. Mam na myśli pannę M.

– Boże, nie. To byłoby jak wożenie drewna do lasu. – Polly często coś przekreśliła.

– Wożenie drewna do lasu oznaczałoby, że panna M. jest piękna jak poranek.

Obie ledwie powstrzymały śmiech.

Panna Milliment, skądinąd sympatyczna i niezwykle inteligentna, miała, jak zauważyła kiedyś Louise, twarz wielkiej starej ropuchy. Kiedy matka skarciła ją za te niegrzeczne słowa, Louise odparowała, że lubi ropuchy, ale wiedziała, że to nieuczciwa odpowiedź, bo ropusze rysy wcale nie są ładne u człowieka. Później o wyglądzie panny Milliment – z pewnością zdumiewającym – rozmawiała z Polly tylko na osobności. Wymyśliły we dwie niewyobrażalnie tragiczne życie, a nawet nie jedno, bo nie zgadzały się co do prawdopodobnych nieszczęść, jakie musiały spadać na pannę Milliment. Nie podlegała dyskusji jej starość: była guwernantką Villy i ta przyznała, że już wtedy uważała ją za starą, a Bóg świadkiem, że miało to miejsce wieki temu. Panna Milliment mówiła „bijolog” i oczywiście „bijologia”, a pewnego razu powiedziała do Louise, że w młodości zrywała dzikie róże na Cromwell Road. Pachniała stęchłymi starymi ubraniami, co było szczególnie wyczuwalne, gdy się ją całowało; Louise zadała sobie taką pokutę po swojej uwadze o ropusze. Guwernantka mieszkała w Stoke Newington i przychodziła pięć razy w tygodniu, by uczyć je przez trzy godziny, a w piątki zostawała na

lunch. Dziś miała na sobie garsonkę z dzianiny w kolorze butelkowej zieleni i mały słomkowy kapelusz w tym samym kolorze, z rypsovą wstążką, osadzony na bardzo ciasno upiętym koku z przetłuszczonych siwych włosów. Zaczęły poranek tak jak zawsze, od czytania na głos Szekspira przez półtorej godziny.

Na dziś przypadły dwa ostatnie akty *Otella* i jego rolę czytała Louise. Polly, która wolała role kobiet – najwyraźniej nie zdając sobie sprawy, że nie są najlepsze – była Desdemoną, a panna Milliment Jagonem, Emilią i wszystkimi innymi. Louise, która potajemnie przeczytała sztukę przed lekcjami, nauczyła się na pamięć ostatniej mowy Otella, co było o tyle dobre, że gdy dotarła do:

*...Błagam cię, w twych listach,  
Opowiadając te straszne wypadki,  
Mów o mnie tak, jak jestem; nic nie ujmij,  
Lecz nic nie dodaj przez złośliwość serca\**

łzy napłynęły jej do oczu i nie byłaby w stanie czytać dalej.

– Czy ludzie tacy są? – zapytała na koniec Polly.

– To znaczy jacy?

– Jak Jago, panno Milliment.

– Nie sądzę, żeby było takich wielu. Oczywiście może być ich więcej, niż nam się wydaje, ponieważ każdy Jago musi znaleźć jakiegoś Otella dla swoich niegodziwości.

– Jak pani Simpson i król Edward?

– Oczywiście, że nie – rzuciła Louise. – Polly, aleś ty głupia!

Król zakochał się w pani Simpson, to zupełnie co innego. Wyrzekł się dla niej wszystkiego i mógłby porzucić dla niej wszystko.

---

\* Przełożył Leon Ulrich.

– Pan Baldwin\* mógłby być Jagonem, zdecydowanie – mruknęła Polly i zarumieniła się.

Panna Milliment głosem gładkim jak olej na wodzie powiedziała:

– Naprawdę nie możemy porównywać tych dwóch sytuacji, chociaż z pewnością sam pomysł jest ciekawy, Polly. A teraz zajmijmy się geografią. Nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę mapę, którą miałaś dla mnie narysować. Przyniesiesz atlas, Louise?

\* \* \*

– Myślę, że raczej ty masz problem.

– Jest śliczna. Tyle że nigdy nie nosiłam tego koloru.

Villy miała na sobie jedną z okazyjnych kreacji Hermione: sukienkę z limonkowozielonego szyfonu, z obszytym złotymi koralikami głębokim dekoltem w kształcie litery V i z plisowaną pelerynką, która spływała z wysadzanych koralikami ramiączek. Dół był uszyty z zakładanych klinów, które leżały płasko na jej szczyptych biodrach, ale mogły się oszałamiająco rozkloszować.

– Myślę, że wyglądasz w niej bosko. Zapytajmy o zdanie pannę MacDonald.

Panna MacDonald natychmiast się zmaterializowała. Była to dama w nieokreślonym wieku – zawsze ubrana w szarą flanelową spódnicę w prążki i bluzkę z jedwabiu tussowego. Była oddana pracodawczyni i prowadziła sklep podczas jej częstych nieobecności. Hermione wiodła tajemnicze życie, na które składały się przyjęcia, weekendowe wyjazdy, zimowe polowania i urządzenie zabawnych mieszkań, które kupowała w Mayfair i wynajmowała za niebotyczne sumy ludziom poznanym na przyjęciach. Wszyscy byli w niej zakochani: jej reputacja opierała się na szerokim

---

\* Stanley Baldwin (1847–1947) – brytyjski polityk z Partii Konserwatywnej, premier Wielkiej Brytanii.

froncie powszechnego uwielbienia. Kimkolwiek był jej obecny kochanek, gubił się w tłumie pozornie zdesperowanych, pozornie wyzutyh z nadziei zalotników. Nie oszałamiała urodą, ale była niezmiennie czarująca i zadbana, a jej przeciąganie samogłosek skrywało przenikliwy umysł i brawurową odwagę, jaką wykazywała się nie tylko na polowaniach, lecz i wszędzie tam, gdzie wymagała tego od niej sytuacja. Brat Edwarda, Hugh, kochał się w niej podczas wojny – podobno był jednym z dwudziestu jeden mężczyzn, którzy oświadczyli się jej w tym okresie – wyszła jednak za Knebwortha i wkrótce po narodzinach ich syna rozwiodła się. Umiała sobie radzić z żonami, ale naprawdę lubiła Villy i zawsze oferowała jej stroje po śmiesznie niskiej cenie.

Villy, stojąca jak zahipnotyzowana w przejrzystej sukni, która przeobraziła ją w delikatną egzotyczną nieznajomą, zdała sobie sprawę, że panna MacDonald wyraża uznanie.

- Wprost dla pani stworzona, pani Cazalet.
- Ciemny granat byłby bardziej uniwersalny.
- Och, pani Knebworth! A może kawa z mlekiem?
- Doskonały pomysł, panno MacDonald. Proszę przynieść.

W chwili, gdy Villy zobaczyła suknię, wiedziała, że musi ją mieć. Chciała mieć je wszystkie, a wśród nich tę, którą przymierzyła wcześniej, z mory w kolorze wina, z wielkimi bufiastymi rękawami z rozetek ze wstążki.

– Istna udręka, prawda? – rzuciła Hermione. Już zdecydowała, że Villy, która przyszła po dwie suknie, powinna kupić trzy. Znając ją, wiedziała, że Villy musi zrezygnować z jednej. Rozległy się teatralne szepty.

- Ile kosztują?
- Panno MacDonald, ile?
- Ta z mory dwadzieścia, szyfonowa piętnaście, koronkowa i z granatowej krepy mogą być po szesnaście. Zgadza się, pani Knebworth?

Zapadła krótka cisza, gdy Villy bezskutecznie próbowała

pododawać liczby.

– Tak czy inaczej, nie mogę wziąć czterech. Wykluczone.

– Sądzę – zaczęła z namysłem Hermione – że granat jest dla ciebie trochę zbyt oczywisty, ale pozostałe są idealne. Przypuścimy, że damy tę z mory i koronkową po piętnaście za sztukę i dorzucimy szyfonową za dziesięć? Ile to wyjdzie, panno MacDonald? – Doskonale знаła sumę, ale wiedziała, że Villy nie razi sobie z rachunkami.

– Czterdzieści, pani Knebworth.

Villy ani się spostrzegła, kiedy oznajmiła:

– Biorę. To grzech, ale nie mogę się oprzeć. Wszystkie są zachwycające. Boże, nie wiem, co powie Edward.

– Będzie cię w nich ubóstwiać. Proszę je zapakować, panno MacDonald. Jestem pewna, że pani Cazalet zechce je zabrać ze sobą.

– Włożę jedną dziś wieczorem. Dziękuję bardzo, Hermione.

W taksówce, jadąc do mamy, Villy pomyślała: naprawdę wstyd mi za siebie. Nigdy nie kupiłam sukni za więcej niż pięć funtów. Ale te będą niezniszczalne i mam dość noszenia wciąż tych samych rzeczy. Często wychodzimy, dodała w duchu, jakby przekonywała kogoś innego, i byłam oszczędna podczas styczniowych wyprzedaży. Kupiłam tylko pościel do domu. I dla Lydii jedynie te rzeczy, których potrzebowała – może z wyjątkiem żakietu do jazdy konnej, ale tak bardzo go pragnęła.

Robienie zakupów z Lydią było pełną lez katorgą. Dziewczynka za nic nie chciała się zgodzić, by prześwietlono jej stopy w nowych butach. „Nie chcę, bo będę miała wstrętne zielone nogi!” Potem się rozplakała, bo usłyszała od Nan, że jest za mała na żakiet jeździecki, a potem znowu, bo Nan nie pozwoliła jej włożyć żakietu na powrót autobusem do domu. Kupiły kamizelki Chilprufe na zimę, dwie pary butów, plisowaną granatową spódniczkę z serży z lejbiem i pasujący śliczny żakiecik z

aksamitu. Lniany kapelusz na lato i cztery pary białych bawełnianych skarpetek były dopełnieniem zakupów. Lydii tak naprawdę zależało tylko na żakiecie do jazdy konnej, ale chciała też mieć pończochy jak Louise, a nie dziecinne skarpetki, i szkarłatny żakietek zamiast granatowego. Nie podobały jej się nowe buty, bo zamiast sznurówek miały paski i guziczki. Villy czuła, że po tym wszystkim zasłużyła na prezent. Wciąż musiała obkupić Louise i 'Teddy'ego, kiedy syn wróci ze szkoły, chociaż nie potrzebował wielu rzeczy. Spojrzała na trzy cudowne pudła ze swoimi łupami i zaczęła się zastanawiać, którą suknię włoży do teatru.

\* \* \*

Dzień był piękny, więc panna Milliment przespacerowała się do Notting Hill Gate, żeby zjeść lunch w ABC. Zamówiła kanapkę z pomidorem i filiżankę herbaty, a potem, ponieważ wciąż była głodna, tartę z kremem. Tak więc lunch kosztował prawie szylinga, czyli więcej, niż powinna wydać. Jedząc, czytała „Timesa”, zostawwszy krzyżówkę na długą podróż pociągiem do domu. Gospodyni przyrządzała dla niej porządny wieczorny posiłek, a także grzanki i herbatę na śniadanie. Czasami panna Milliment żałowała, że nie stać jej na radio, którego mogłaby słuchać wieczorami, bo oczy jej szwankowały i miała coraz większe kłopoty z czytaniem. Od śmierci ojca – emerytowanego pastora – zawsze mieszkała na kwaterach, jak to ujmowała. W zasadzie jej to nie przeszkadzało; nigdy nie była typem domatorki. Wiele lat temu mężczyzna, za którego miała wyjść za mąż, zginął podczas wojny burskiej i z czasem jej smutek w końcu ustąpił miejsca pokornej akceptacji faktu, że nie stworzyłaby mu zbyt wygodnego domu. Teraz zajmowała się nauczaniem; list od Violi z prośbą, by uczyła Louise, a później także jej kuzynkę Polly, był dla niej darem niebios. Wcześniej czuła się zdesperowana: pieniądze po ojcu zapewniały jej dach nad głową i nic więcej. Doszło do tego, że nie było jej stać na bilet do National Gallery, nie mówiąc o



wystawach. Pasjonowały ją obrazy – zwłaszcza francuskich impresjonistów, wśród których Cézanne był jej bogiem. Czasami z nutką ironii myślała, że to dziwne, iż tak wiele osób określała ją mianem „panna jak niemalowana”. Rzeczywiście była jedną z najbrzydszych osób, jakie widziała w życiu, ale kiedy już to stwierdziła, przestała zwracać uwagę na swój wygląd. Nosiła rzeczy najtańsze i najłatwiejsze do zdobycia, kąpała się raz w tygodniu (gospodyni brała dodatkową opłatę za ten luksus) i przejęła ojcowe okulary w stalowych oprawkach, które dobrze jej służyły. Pranie było albo trudne, albo drogie, więc jej ubrania nie grzeszyły czystością. Wieczorami czytała dzieła filozoficzne, tomiki poezji i książki o historii sztuki, a w weekendy oglądała obrazy. Tonęła w nich! Patrzyła, stała, wracała do płótna, aż zostało wchłonięte przez te tajemne części jej pokaźnej istoty, które tworzą pamięć, a następnie obrócone w duchową strawę. Prawda – jej piękno, sposób, w jaki czasami potrafi ona wyjść poza ramę zwykłego wyglądu rzeczy – poruszała ją i ekscytowała. Panna Milliment była przepelniona wdzięcznością. Pięć funtów tygodniowo za uczenie dwóch dziewczynek pozwoliło jej oglądać wszystko, na co miała czas, i zaoszczędzić trochę na lata, kiedy Louise i Polly nie będą jej już potrzebować. W wieku siedemdziesięciu trzech lat raczej nie znajdzie innej pracy. Była samotna i całkowicie do tego przywykła. Zostawiła dwa pensy kelnerce i lekkim truchcikiem, zygzakami z powodu krótkowzroczności, przebyła drogę do metra.

\* \* \*

Phyllis zaczęła wolne popołudnie od wyprawy do domu towarowego Ponting's. Trwała letnia wyprzedaż, a ona potrzebowała pończoch. Cieszyła się, że będzie miała okazję się porozglądać, chociaż wiedziała, że nie uniknie pokusy, by coś kupić – bluzkę albo letnią sukienkę, bez której doskonale mogłaby się obyć. Przeszła pieszo przez Campden Hill do Kensington High Street,

żeby zaoszczędzić na bilecie. Pochodziła ze wsi i taki spacer był jej niestraszny. Miała na sobie letni płaszcz (jasnoszary, z przędzy ślub), spódnicę, bluzkę – prezent od pani Cazalet na Boże Narodzenie – i słomkowy kapelusz, który należał do niej od wieków i od czasu do czasu wymagał obrąbienia. Miała też szare bawełniane rękawiczki i torebkę. Phyllis zarabiała trzydzieści osiem funtów rocznie i wysyłała matce dziesięć szylingów miesięcznie. Od czterech lat była zaręczona z pomocnikiem ogrodnika w posiadłości, gdzie jej ojciec służył jako gajowy, dopóki artretyzm nie zmusił go do przejścia na emeryturę. Zaręczyny z Tedem stały się częścią krajobrazu jej życia: przestały być ekscytujące, chociaż tak naprawdę nigdy nie były, bo od początku wiedzieli, że przez bardzo długi czas nie będą mogli pozwolić sobie na ślub. Zresztą znała Teda całe życie. Najęła się na służbę i przyjechała do Londynu; spotykali się mniej więcej cztery razy w roku – podczas jej dwutygodniowego urlopu, kiedy wracała do domu, i przy tych nielicznych okazjach, gdy udało jej się namówić narzeczonego, żeby przyjechał do niej na jeden dzień. Nienawidził Londynu, ale był porządnym, spokojnym facetem i czasami zgadzał się przyjechać – głównie latem, bo przez resztę roku, zważywszy na pogodę, nie mieli gdzie się podziąć. Siadywali w herbaciarniach i chodzili do kina, i to było najlepsze, bo jeśli go zachęciła, obejmował ją ramieniem; ona słuchała jego oddechu, a on nigdy potem nie wiedział, o czym był film. Raz w roku zabierała go na podwieczorek na Lansdowne Road, gdzie w kuchni wraz z Emily i Edną częstowała go jedzeniem, a on odchrząkiwał, chociaż nic nie mówił, i pozwalał herbacie wystygnać. Phyllis odkładała dziesięć szylingów miesięcznie na ślub. Zostawały jej dwa funty, trzy szylingi i trzy penty na dni wolne, na ubrania i wszystko, co było jej potrzebne, więc musiała oszczędnie gospodarować pieniędzmi. Większą część trzydziestu funtów wpłacała na pocztowe konto. Miło było mieć pewną przyszłość, a Phyllis zawsze chciała zaznać trochę życia, zanim

się ustatkuje. Porozgląda się po Ponting's, potem pójdzie na spacer do Kensington Gardens i znajdzie sobie ładną ławkę, żeby posiedzieć w słońcu: lubiła oglądać kaczki i zabawkowe łódki na Okrągłym Stawie. Później wypije herbatę w Lyons. Kończyła wolny dzień w kinie Coronet albo Embassy przy Notting Hill Gate, gdziekolwiek puszczały film z Normą Shearer. Lubiała Normę Shearer, bo Ted kiedyś powiedział, że jest trochę do niej podobna.

W Ponting's trwała wyprzedaż pończoch. Trzy pary za cztery szylingi. Tam zawsze panował tłok. Spojrzała tęsknie na stojaki z letnimi sukienkami przecenionymi do trzech szylingów. Wypatrzyła taką w jaskry, z zaokrąglonym kołnierzykiem – wiedziała, że jest w sam raz na nią – i wpadła na genialny pomysł. Postanowiła zajrzeć do Barker's i zobaczyć, czy uda jej się zdobyć końcówki z beli, żeby samej uszyć sukienkę. Dopisało jej szczęście. Znalazła ładny zielony materiał ze wzorem w róże na treliżu – trzy i ćwierć metra za pół korony. Okazja! Edna, która była dobra w szyciu, miała wykroje, więc Phyllis nie musiała żadnego kupować. Sześć pensów zaoszczędzonych jest lepsze niż sześć pensów wydanych, jak powiedziała jej matka. Gdy Phyllis dotarła do Okrągłego Stawu, była już bardzo zmęczona i chyba słońce ją rozleniwiło, bo przysnęła. Musiała zapytać jakiegoś pana, która godzina. Nad brzegiem stawu zebrała się gromada brudnych, obdartych dzieci, niektórych bosych, z niemowlęciem w zdezelowanym starym wózku. Łowiły cierniki i wkładały je do słoika po dżemie, a gdy mężczyzna się oddalił, jeden z łobuziaków zapytał:

– Ile bierzesz za godzinę?

Cała gromada ryknęła śmiechem i zaczęła skandować jego słowa, z wyjątkiem niemowlaka, który miał smoczek w buzi.

– To bardzo niegrzeczne – powiedziała Phyllis i poczuła, że się czerwieni.

Oni jednak nic sobie z tego nie robili, bo byli nieokrzesani.

Jej matka nigdy by nie pozwoliła, żeby włóczyła się samopas, tak jak te dzieciaki.

Lekko pobolewała ją głowa i przez chwilę paniki myślała, że może zaraz dostanie miesiączki, cztery dni przed czasem. Jeśli tak, to musi pójść prosto do domu, bo nie ma nic ze sobą. W drodze przez ogrody ku Bayswater Road doszła do wniosku, że nie, to niemożliwe, bo gdyby tak było, wyskoczyłoby jej mnóstwo pryszczycy, a nie tylko jeden. Phyllis miała prawie dwadzieścia cztery lata i służyła od nieco ponad dziesięciu. Kiedy dostała pierwszej miesiączki, w jej pierwszym domu, pobiegła z płacem do głównej pokojówki, przerażona widokiem krwi – a Amy po prostu wyjaśniła jej, jak złożyć paski flaneli, i powiedziała, że wszyscy to rozumieją i że zdarza się to raz w miesiącu. Był to jedyny raz, kiedy ktoś o tym wspomniał, z wyjątkiem sytuacji, gdy pani Cazalet pokazała jej, gdzie w szafie na bieliznę trzymana jest flanela. Była damą i nie dodała słowa więcej, a Phyllis nie oczekiwała niczego innego. Obie z Edną wiedziały, kiedy ta druga ma okres, ale nigdy o tym nie rozmawiały, bo tak zachowują się damy. Krwawienie wydawało się dziwne, skoro jednak zdarzało się każdej, nie mogło być w tym nic złego. Flanelę wkładano do płóciennego worka i co tydzień wysyłano do pralni jako „serwetki higieniczne”. Oczywiście służące miały oddzielną torbę. W każdym razie dziś był fałszywy alarm. Po podwieczorku, złożonym z dwóch filiżanek herbaty i bułeczki z owocami, Phyllis poczuła się znacznie lepiej i poszła do kina Coronet.

## Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- [swiatksiazki.pl](http://swiatksiazki.pl)
- [empik.com](http://empik.com)
- [bonito.pl](http://bonito.pl)
- [taniaksiążka.pl](http://taniaksiążka.pl)

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również w formie **e-booków**.  
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę [wydawnictwoalbatros.com](http://wydawnictwoalbatros.com), gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).